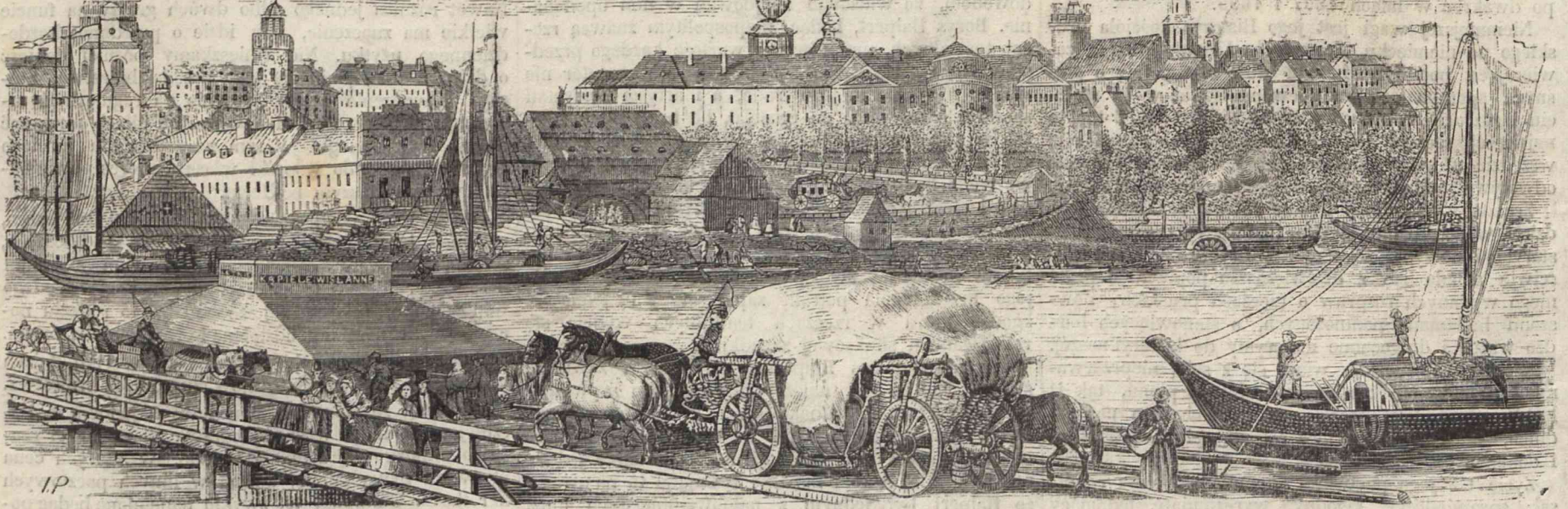


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 73.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, $\frac{4}{16}$ lutego 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Krzysztof Hartknoch (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Zdobyte Parnawy. — Z Kowna do Wilna, wyjątek z podróży Władysł. Maleszewskiego (z dwoma drzeworytami). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Wyjątek z listu Karola Szajnochę do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego. — Nigdy (ciąg dalszy). — Korrespondencya od redakcyi. — Białogon i jego zakłady (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Krzysztof Hartknoch.

Połączenie krajów pruskich z dawną rzeszą polską, trwające przeszło trzy stulecia, przysporzyło i literaturze naszej historycznej szereg pisarzy, co chociaż obcy pochodzeniem, z właściwą Niemcom gruntownością, pracą i pilnością zajmowali się historią narodu, do którego od wieków należeli. Wprawdzie pisali oni po niemiecku, lub po łacinie; ale to nie przeszkadzało im przystępować do przedmiotu z miłością nauki, bezstronnością i tym zdrowym, lubo nieco chłodnym sądem, co prawie wszystkie ich prace cechuje. Im to winniśmy pierwsze głębsze badania naukowe, objaśniające dzieje naszej cywilizacyi, prawodawstwa i wewnętrznego społecznego układu. Oni pierwsi dali nam kompendya, czyli krótkie zbiory rzeczy polskich, rozświetlili najciemniejsze strony wewnętrznych zasad dawnego stanu rzeczy i przygotowali obszerne materiały, dotąd użyteczne i nauczające.

W pośród nich cenniejsze zajmuje miejsce dziejopis 17 stulecia, którego życiorys i wizerunek podajemy, ze wszystkich współczesnych najwięcej krytyczny i najprzychylniejszy krajowi w którym się wychował i całe życie pełne zasług na polu literackim przepędził.

Krzysztof Hartknoch urodził się w r. 1644 we wsi Jabłonka, dziś w regencyi królewieckiej, o dwie mile od miasta Pasyńia (Passenheim) leżącej, z ojca Stefana, slusarza w Łycku, na granicy litewskiej, który rzadkiego doszedł wieku, przeżywszy w małżeństwie sto lat, a umarł mając lat 130. Z takich atoli rodziców syn przyszedł na świat chorowity i delikatny.

Młody Hartknoch, od dzieciństwa ukazując niezmierną do nauk ochotę i niepospolite zdolności, zniewolił ojca do łożenia na jego wychowanie, a następnie na wysłanie go do uniwersytetu w Królewcu, w którym obrawszy sobie stan duchowny, uczęszczał na wydział teologiczny. Brak jednak funduszy, a ztąd niemożność utrzymania się, spowodowały, iż nie dokończył nauk i przyjął obowiązek nauczyciela domowego, do synów pewnego doktora medycyny na Litwie. Tam niebawem potrafił zwrócić uwagę swoich współwznowców, a ci, chcąc korzystnie go zatrudnić, wyjednali mu rektorstwo szkoły ewangelickiej w Wilnie, które objął w r. 1665. Lecz gdy do posady tej przy-

wiązany był obowiązek pomagania miejscowemu kaznodziei, ten do tyła go obarczał, iż często po pięć kazań w języku polskim i niemieckim co tydzień musiał mu przygotować. Była to praca nad jego siły; ciężko też z niej zachorował, po wyzdrowieniu zaś uwolnił się zaraz z rektorstwa; które zajmował niecałe dwa lata.

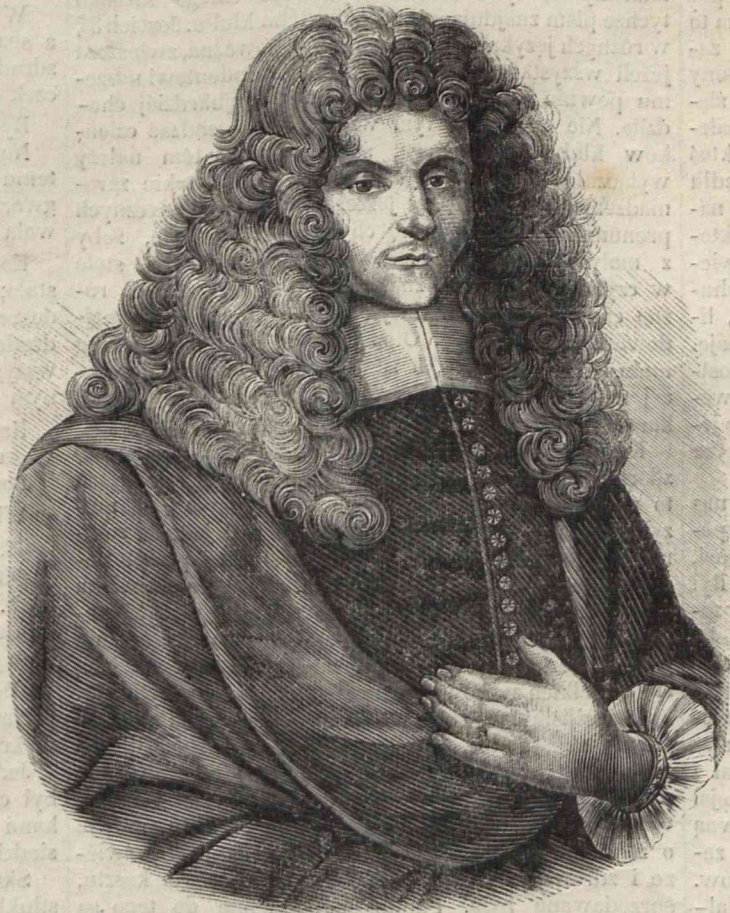
W 1667 roku opuścił Wilno i udał się do Gdańska, mając sobie powierzone wychowanie dwóch synów bogatego pana polskiego, z którymi i sam kończył studia, słuchając nauk w tamiecznych kolegiach. Rozprawiał wtedy publicznie z uczonymi i niektóre

czytelstwem, poświęcając się przytém historii Prus polskich, Pomorza, Kurlandyi i Żmujdzi, z których wygotował pojedyncze wypracowania, dotyczące początków narodu, religii, starożytności, rządu, praw, miast, języka, obrządków, zwyczajów i obyczajów, słowem wzrostu i losów tych prowincyj; od wniescia Krzyżaków, aż do swych czasów. Wszystko to w osobnych rozprawach rozważył, pisarzy innych porównał, krytycznie rozebrał i wątpliwości rozświetlił. Rozprawy te pierwotnie w języku łacińskim począł wydawać z druku, a potem niektóre razem zebrane ogłosił w r. 1679, pod tytułem: *Selectae dissertationes historicae de variis rebus Prussicis*.

W tymże czasie, odkrywwszy rękopis kroniki Piotra Duisburga, księdza krzyżackiego, po łacinie na początku 14 wieku pisany, obejmujący dzieje Prus od początku tegoż zakonu, czyli od r. 1190, aż do roku 1326, przedłużony przez bezimiennego do roku 1433, pierwszy ją wydał wraz z uwagami swemi, w niejednym miejscu prostując mylne zdania i dopełniając je wyżej wspomnianymi rozprawami.

Wydanie kroniki Duisburga, pomimo błędnego tekstu, uważane jest dotąd za źródło dziejów Prus z 13go i pierwszych dziesięciu lat 14 stulecia, na którego świadectwie polegają prawie wszyscy uczeni pruscy.

Temi pracami zdobył sobie Hartknoch głośne już imię, kiedy powołano go w r. 1678 na profesora gimnazjum w Toruniu, gdzie oprócz gorliwego sprawowania przyjętego obowiązku, pomimo nadwątlonego zdrowia, najważniejsze swoje dzieła ułożył. Tam bowiem napisał pierwszą treścią historią polską po łacinie, pod tytułem: *De republica Polonide et annexorum regno provinciarum, Libri II*, doprowadzając ją do swoich czasów. Dzieło to z wielką pilnością z dziejopisów i praw krajowych zebrał i rzeczy polskie objaśnił, przeznaczając pierwszą część na właściwą historią narodu, a drugą na wykład praw publicznych. Co inni pokrótce tylko napomknęli, albo umieszczali bez dowodów, to Hartknoch w tym dziele niezaprzeczonymi wsparł świadectwy, a wiedząc gdzie ma powatpiewać, z dokładnością i bez uprzedzenia roztrząsał mniemania niemieckich i polskich pisarzy, zawsze niemal sobie przeciwnych. Skromny, umiarkowany, ważył ich zdania i prawdziwie tylko hołd oddawał. Cenili Polacy sprawiedliwi te księgi, a lubo napotykali w nich



KRZYSZTOF HARTKNOCH. (Rys. Tegazo, ryt. Styfi w Warszawie.)

ze swoich filozoficznych dyssertacyj ogłaszał drukiem. Tak przygotowany, w następnym roku wezwany został powtórnie na Litwę, na kaznodzieję do Ślucka, dokąd się udał, chociaż zagrożony był chorobą płucową. Po sześciu jednak miesiącach pobytu, przekonawszy się że nie ma zdrowia po temu, wrócił do Gdańska. Tu trudnił się znowu przez pięć lat nau-

niedokładności i opuszczenia, przebaczały je przez wzgląd na trudności, jakie pokonywać musi uczonej, pierwsze w tym rodzaju tworzący dzieło. Obcy również znajdowali je dobrymi, a nawet wybornymi, chociaż utrzymywali, że sposób pisania autora zanadto jest suchy. W istocie styl Hartknocha jest bez ozdób i wdzięku; łacina poprawna, ale niezajmująca; nie

ubiega on się nigdzie za kwiatkami, nie schlebia próżności, szukając tylko rzeczy i faktów, a nie marniej gadaniny. Ztąd praca jego należy do tego rodzaju dzieł, do których się przystępuje raczej dla nauki, jak dla przyjemności.

Historia Hartknocha, wydana pierwotnie w Jenie 1678 r., była kilka razy przedrukowana. Sam autor pomnożył ją i rozszerzył w powtórnym 1687 r. wydaniu; potem ukazała się w Frankfurcie i Lipsku po dwakroć w latach 1697 i 1699.

Niemniejszej wagi jest jego Historia kościoła pruskiego po niemiecku, *Preussische Kirchen-Historie*, zawierająca pomiędzy innymi dużo szczegółów o głośnych sporach jezuitów z ewangelikami w 17 stuleciu i rozruchach z tego powodu toruńskich. Z niej to najwięcej czerpał Adryan Krzyżanowski, chwalać ją wszędzie w swojej *Dawniej Polsce*, i do niej się zawsze odwoływał, oddając sprawiedliwość bezstronności autora.

Zresztą wymieniamy jeszcze równie znakomite jego dzieło w języku niemieckim, pod nazwą: *Opisanie Prus starych i nowych, Alt und neues Preussen*, które właściwie składa się z dziewiętnastu poprzednio przez niego wydanych rozpraw o rzeczach pruskich, nowszymi badaniami pomnożonych, a stanowiących bardzo ważne i drogie materyały do historii naszej.

Wszystkie te dzieła wiążą się z sobą nieprzerwanym łańcuchem nakreślonego oddawna planu, tak iż każda praca Hartknocha jest dopełnieniem poprzednich, w jednym i tymże samym celu rozpoczętych i dokonanych.

Życie też jego prywatne odpowiadało temu co pisał: sprawiedliwy, łagodny, wyrozumiały, jednający sobie przyjaciół, był kochany i szanowany od wszystkich i umarł z powszechnym żalem dnia 3 stycznia 1687 r. w Toruniu, mając lat 43.

Kronika tygodniowa.

Karnawał już się skończył; a wiecie po czém najlepiej nadejście postu daje się rozpoznać? Oto po ogłaszanych różnych przysmaczkach, których ilość i dobór z każdym rokiem się zwiększa. Doprawdy, sądząc z tych ogłoszeń, zdawałoby się że wielki post, to najsposobniejsza pora do sowitego napełniania żołądków. Prawda że pod pewnym względem jest to także umartwieniem, bo wszystkie te potrawy i przyprawy bardzo drogo kosztują. Ależ za to jakaż dla nas chwała, że protegujemy przemysł zagraniczny, że przynajmniej podniebieniem zbliżamy się do tak pożądanej cywilizacji zachodniej. O śledziu klasyczny, o śledziu ojców naszych, jakże daleko odbiegliśmy od siebie! To mi przypomina, że ktoś zdjęty wyrzutem sumienia, informował się w handlu winnym u przybyłego tam kwestarza, czy ostrygi należy liczyć do ryb, czy do mięsa. Kwestarz potraktował pytającego tabaczką, namyślił się trochę i powiedział, że to zależy od ilości ostryg spożytych. Rachując na tuziny, można je jeszcze za ryby uważać, liczone zaś na kopy, już się w mięso przemieniają. Pokazało się więc że podług tego ocenienia, na postnych nawet śniadankach wiele zjada się mięsa. Kwestarz miał słusność, ale przewiduję że dowodzenie jego żadnego nie odniesie skutku, bo w obecnej porze właśnie ostrygi smaczniejszymi być zaczynają.

Zmarłemu Borysowi Halpertowi należy się od nas kilka słów wspomnienia, chociaż skutkiem praw peryodyczności, jakim Kronika tygodniowa ulegać musi, wspomnienie to wydawać się może spóźnionem. Był to jeden z tych ludzi, którzy pod światowemi pozorami, kryją rzeczywiste ukształcenie. Czytał on wiele, ale widział i znał więcej jeszcze, i niejedną z urzędowych krytykówek mógłby być od niego z korzyścią rady w zdaniu o sztuce zasięgnąć. Literacko pracował niewiele, chociaż wszystkie jego przekłady są staranne, wybornie bowiem władał obcemi językami i znał dokładnie ojczysty, czém nie wszyscy terażniejsi tłumacze poszczycić się mogą. A tłumaczył z równą łatwością wierszem, czy prozą. Największe jednak zasługi Borys Halpert położył jako dyrektor teatrów.

Czynności i umiejętnemu wyborowi Borysa Halperta, publiczność nasza winna jest zapoznanie się z najlepszymi utworami Fredry i Korzeniowskiego, że wspomnę tylko *Dożywocie* i *Zemstę* Fredry, *Dymitra i Maryę* i *Żywych i umarłych* Korzeniowskiego, oprócz wielu, bardzo wielu innych, które po pierwszy raz za niego pojawiły się na scenie naszej. Do czasów jego dyrekcji Fredro nie należał stale do repertuaru; starsi pamiętali tylko, że dawano kiedyś z powodzeniem sztuki znakomitego komedyopisarza, ale jedne leżały w zapomnieniu, drugich wcale nie przedsta-

wiano. Artyści nie ufali siłom własnym, nie ufali gustowi publiczności. Halpert dopiero pierwszy dowiódł o ile mylono się pod tym względem, i wskazał drogę na której rzeczywiste powodzenie dla sceny znaleźć można. Każda nowość jaką dawał Korzeniowski, natychmiast przedstawiana była; nie uskarżano się wtenczas na brak zamilowania publiczności w dramacie, bo dramat kwitł na równi z komedią, i właściwego używając wyrażenia: *robił pieniądze*, co samo już jest dowodem, że widzowie znajdowali w nim upodobanie. Borys Halpert, będąc niepospolitym znawcą rzeczy teatralnych, umiał ocenić wartość każdego przedstawionego sobie dzieła. Wytrwały nawet autor nie wahał się pójść za jego radą, a i artyści korzystali często z uwag jakie im udzielał, bo brały zawsze źródło w szczerem zamilowaniu dobra sceny. Komorowski niejednokrotnie dawał się słyszeć, że Halpertowi wiele był winien. I niejedną z artystów żyjących dziś i cieszących się zasłużonem powodzeniem, toż samo poświadczy. Energiczny i surowy w wypełnianiu powierzonych sobie obowiązków, sprawy jednak artystów bronił jak swojej własnej, i przez czas swego urzędowania potrafił zaprowadzić tę jedność i zgodę, która w rzeczach teatralnych wydaje się rozwiązaniem sfinksowej zagadki.

Takim był Borys Halpert w publicznym zawodzie swoim. Nie do nas należy ocenienie jego prywatnego życia; znaczna jednak liczba przyjaciół i życzliwych, którzy odprowadzili zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku, dowodzi ile sobie umiał jednać serca ludzkie. A tém bardziej zasługuje to na uwagę, że Halpert był jednym z najdowiecipniejszych ludzi swego czasu, wiadomo zaś że dowcip nie przysparza przyjaciół. Ale Halpert umiał być dowcipnym bez złośliwości, co jest jednym z najtrudniejszych zadań.

Eugeniusz Mirecourt, którego rossyjskie i nasze pisma usmięciły, napisał w tych dniach do *Gazety Codzienniej* odezwę, dowodzącą że żyje. Podobno publiczne jego wykłady literatury w Kijowie nie bardzo mu się udały, widocznie jednak na tym pobycie między nami sam musiał skorzystać, bo w powyższej przytoczonej odezwie cytuje wiersz Krasickiego, oświadczając szacunek swój dla dzieł tego znakomitego pisarza. Ta pochwała z ust Francuza, a tém bardziej z ust człowieka który największym nawet znakomitościom nie zwykł oddawać pochwał, zasługuje na uwagę.

Z powodu zarzutu uczynionego przez korespondenta naszego z Wilna tamecznemu klubowi szlacheckiemu, że za mało prenumeruje pism peryodycznych, otrzymaliśmy w tych dniach wyliczenie całego szeregu tychże pism znajdujących się w czytelni klubu. Jest ich 37 w różnych językach. Liczba to wcale poważna, zwłaszcza jeżeli wszystkie są czytane, bo korespondentowi naszemu pewnie o ten ostatni warunek najbardziej chodziło. Nie chcemy w tym względzie przesądzać członków klubu wileńskiego; sąd bowiem o tém należy wyłącznie do miejscowych; znamy jednak takie zgromadzenia, gdzie więcej jeszcze pism peryodycznych prenumerują, a zdaje się chyba po to jedynie, żeby z małym wyjątkiem leżały bezużytecznie na stole w czytelni. W fizyce znane jest prawo, że dwa różne ciała na jednym miejscu i w jednym czasie znajdować się nie mogą. Otoż takimi ciałami są podług mnie książki i karty, a że te ostatnie widocznie więcej mają w sobie siły żywotnej, więc gdzie stoliki karciane kwitną, tam czytelnia cierpieć musi.

Każdy z czytelników przyzna, że rzadko nam się zdarza polecać im jaką nowość muzyczną; nie nasza to rzecz, a przytém zauważaliśmy oddawna, że muzyka sama się proteguje u nas. Dzisiaj jednak robimy wyjątek dla świeżo wydanej ślicznej pieśni Moniuszki, ze słowami Lenartowicza. Nietylko nazwiska autorów, nietylko wartość sama poezji i muzyki polecają ten utwór; największą zachętą do rozkupienia go jest bezinteresowność nakładeńców, którzy zrzekają się wszelkich zysków z rozsprzedaży, na cel pożyteczny.

Donosiliśmy niedawno o zamiarze założenia w Warszawie składu towarów na akcyje, na wzór istniejących już w kilku miastach prowincjonalnych. Inne podobnego rodzaju przedsięwzięcie może wkrótce w czyn wprowadzone zostanie; chcemy tu mówić o założeniu składkowej traktierni, w którejby świeże i zdrowe jedzenie, mniej więcej po cenie kosztu, sprzedawane było. Fundusze potrzebne do tego są już w części zebrane za pomocą drobnych składek, wszelkie koszta lokalu, kupna, zarządu i t. p., skrupulatnie obliczone, i, jak nas upewniano, zdrowo i gospodarsko sporządzony obiad, z czterech potraw złożony, nie będzie kosztował więcej jak 50 gr. na osobę. Nie przeczymy że znajdują się w Warszawie zakłady, gdzie po tańszej jeszcze cenie można się pożywić; ale tu idzie o smaczne i zdrowe jedzenie, a przy dopełnieniu skrupulatnem tych warunków, oznaczona cena wcale nie jest za wysoką. Przystępujący do

współki są wszyscy prawie ludźmi ze ściśle ograniczonymi funduszami, którzy przekonają się tym sposobem, o ile takie przedsięwzięcia, wspólnemi podejmowane siłami, okazać się praktycznemi dogodnemi w wykonaniu. Że zaś zakłady podobnego rodzaju wpływają znacznie na łatwiejsze zaspokajanie pierwszych potrzeb życia, dowodzi tego zniżenie ceny towarów kolonialnych w tych właśnie miejscach, gdzie istnieją składy komissowe obywatelskie. Nawet różnica jednego albo dwóch groszy na funcie wielkie ma znaczenie, gdy idzie o przedmiot każdego dziennego użytku. Nie omieszkamy później donieść o dalszém rozwijaniu się tego przedsięwzięcia, którego powodzenie zależy głównie na regularnem uiszczaniu składek, dopóki o własnych siłach utrzymać się nie będzie mogło. W tym względzie dla każdego przystępującego do spółki własny interes powinien być największym bodźcem.

Otrzymujemy wiadomość, że syn obywatela tutejszego, rzeźbiarz Józef Manzel, bawiący obecnie we Włoszech, został mianowany członkiem honorowym akademii florenckiej. Wielki to zaszczyt dla naszego młodego współziomka, témbardziej że podobnego rodzaju nominacye nielatwo tam udzielane bywają cudzoziemcom.

Szczególny wypadek wydarzył się w tych dniach na jednym z głównych traktów pocztowych królestwa.

Wiadomo że pomiędzy Warszawą a jednym z znaczniejszych miast naszych, kursują od pewnego czasu omnibusy na dwanaście osób, w których cena przewozu bywa tańszą, aniżeli w innych pocztowych karetkach. Omnibusy te, zwykle napełnione będąc podróżnymi, całą noc przepędzają w drodze.

Owóz kilka dni temu wyjechał z Warszawy takim omnibusem dziewięć dam i dwóch mężczyzn. Z początku rozmowa dość była ożywiona, większość bowiem towarzystwa stanowiła pleć piękna, a ta, jak wiadomo, nie lubi milczeć; ku zbliżeniu się jednak nocy rozmowa uciszała się stopniowo; zaledwie pojedynczo wymawiane zapytania i odpowiedzi przerywały ciszę, aż nareszcie owinęto się lepięj w futra, przytulono do poduszek i nastąpiło głuche milczenie, zakłócanie jedynie głośnie oddechem uspijonych już i zasypiających.

Tylko kaganiec, z środka sklepień ciemnych
Zwieszony, blade promienie rozwoził.

Nie był to wprawdzie kaganiec, ale zwykła omnibusowa latarnia, której drzące i niepewne światło słabo tylko oświecało wnętrze karety.

W samej głębi, w kącie, siedział jeden z mężczyzn, a sen jego widać był niespokojny i przerywany, co zdradzał częsty szelest i brzęk jakichś drobnych paczek poukładanych przy nim.

Była może pierwsza po północy.

Nagle jedna z dam wydaje lekki krzyk, krzykowi temu wtórz kilka innych, dają się słyszeć jęczenia, gwar się powiększa, wszyscy budzą się, kilka głosów woła na pocztyliona i omnibus staje.

Kondaktor wchodzi do środka, nie pojmując co się stało; jedne z dam wołają światła, drugie, pomimo deszczu lejącego jak z cebra i ogromnego błota na drodze zwirowej, wychodzą szybko z omnibusu, a wszystkie załają się, jęczą, krzyczą, tak iż w tym ogólnym hałasie rozpoznać się nie można.

Kondaktor odczepia drugą latarnię od przodu powozu i przynosi ją. Straszny widok uderza jego oczy. Podłoga omnibusu cała we krwi.

Widocznie jakaś tajemnicza zbrodnia została popełniona.

Obecni rachują się pomiędzy sobą... nikogo nie brak.

Ale damy załają się na jakieś nieznośne cierpienia, i po bliższem przyjrzeniu się następuje przekonanie, że wszystkie są poranione.

Nareszcie, po ogólnej i ściśle dopełnionej rewizji, wykrywa się prawdziwy stan rzeczy.

Jeden z mężczyzn znajdujących się w omnibusie był cyrulikiem, i kilka słoików napełnionych pijawkami poustawił w kącie powozu, tam właśnie, gdzie siedział ów mężczyzna o niespokojnym śnie.

Skutkiem senniejszej gestykulacji, o której mówiliśmy, stłukło się parę słoików, i pijawki, wypuszczone na wolność, rozpoczęły peregrynacją po podłodze omnibusowej.

Reszta sama już się tłumaczy.

Pamiętam jakiś egzamen w pierwszej klasie, na którym jeden z uczniów utrzymywał, że w Ameryce szynki rosną na drzewach. Owóz nie w tém nie było dziwnego, jeżeli mamy sądzić z ogłoszenia umieszczonego w jednym z pism tutejszych, które brzmi jak następuje:

„Niżej podpisany ma honor donieść szanownej pu-

blichności, iż do składu mego fruktów nadszedł świeży transport amerykańskich gumelastycznych kaloszy.“

Owóż macie oczywisty dowód, że galosze są fruktem. Dobrzeby było żeby już nie sam owoc, ale drzewo na którym rośnie, chciało sprowadzić do nas.

Przybył do Warszawy pan Zarzycki, fortepianista, rodem ze Lwowa, który kilka lat spędził na kształceniu się w Paryżu. Pan Zarzycki podobno ma zamiar dać tutaj koncert.

ZDOBYCIE PARNAWY.

Dnia 13 lutego 1609 roku.

Dnia 13 lutego r. b. upłynęło właśnie lat 252, jak w czasie wojny ze Szwedami, Jan Karol Chodkiewicz okrył się sławą przez zdobycie Parnawy.

Stał ze szczerymi zastępami swemi pod Szantstein, mając pilne oko na dwie twierdze: Dyament i Rygę, gdy dano mu znać że Szwedzi zamierzają wyciągnąć z Parnawy, by wzmocnić załogę Dyamentu.

Postanowił przeto, ukrywając swój pochód, w najcieńsze mrozy ciągnąć mil 32 do Parnawy, przez głuche puszcze, bezdroża i śniegów zawały.

W samą niedzielę mięsopustną r. 1609, udał się z częścią wojska pod Rygę i o milę od miasta stanął w lesie. Poruszenia jego nieprzyjacieli nie dostrzegł. Zakryty lasami, odpoczywając we dnie, a nocami ciągnąc wśród niezmiernych trudów i bezdroży, tak iż nieraz po dwie tylko mile na dzień mógł przebywać, szóstego dnia wyszedł z lasów i zamierzonym brzegiem morskim spiesznie postępując, stanął o trzy mile od Parnawy i zatrzymał się nocą wśród gęstego lasu.

Pomimo największych ostrożności, jeden z mieszkańców doniósł Szwedom w Parnawie, że oddał jakiś polski naciąg.

Szwedzi, jakkolwiek nie wiedzieli gdzie się Chodkiewicz znajduje, na znak trwogi po trzykroć uderzyli z półkartańca.

Wystrzał ten przeraził naszych, którzy sądzili się odkrytymi. Hetman nakazał największą cichość, nie dozwolił rozpalić ognisk.

Straszna zamieć śnieżna i mroz silny tak dokuczali rycerstwu, iż zaczęło szemrać i przeklinać wodza swojego.

Chodkiewicz, siedząc na koniu jak drudzy, okryty burką, przywalony śniegiem, głosy niechęci puścił mimo uszy, a nim świtać zaczęło, cofnął się o pół mili za górę i przez cały dzień następny stał w cichości.

Niecierpliwosć rycerstwa w głośny okrzyk wybuchła, gdy o północy dał rozkaz ruszenia naprzód.

Mroz był silny, niebo krwawą czerwienią się lona, ustąpiła zamieć śnieżna, gdy rycerstwo, idąc z nadzwyczajnym pośpiechem, przed świtem stanęło o ćwierć mili od Parnawy. Dnia 13 lutego hetman zebrał swoich w kółko i rzekł: „Mości panowie! postanowiłem zdobyć Parnawę. Kto kocha ojczyznę i króla, kto sławę waży nad własne życie, ten pójdzie za mną.“

To mówiąc zsiada z konia, dobywa szabli i posuwa się na czele piechoty. Ale towarzysze husarscy i pancerni, rzuciwszy się z koni, schwycili go, prosząc aby tego nie czynił i wołając: „Zachowaj się! my wypelnimy sami co tylko rozkażesz.“

Chodkiewicz, zostawiwszy kilka chorągwi jazdy, aby dała odpór mogącej nadejść odsieczy, kazał zsiąść reszcie z koni i wraz z piechotą uderzyć.

Dano znak do szturm: Szwedzi stanęli w gotowości do obrony. Pomimo gęstego zwałowiska ognia tak ze 404 dział, jak i z ręcznej broni, petardami wysadzono cztery bramy, któremi wpadli Polacy, a wręcz się ścinając szablami, na karkach szwedzkich dostali się do zamku.

Dwaj Farenbachowie, z pochodniami w rękę, podpaląc go chcieli, gdy Szwedzi klucze oknem wyrzucili, prosząc o miłosierdzie i składając chorągwie.

Rzeź ustąpiła: szturm, zaczęty ze świtem, trwał przez półtrzęci godzinę: nim słońce zajaśniało na niebie, twierdza była w ręku Polaków.

Blisko stu naszych liczone między zabitymi i ranymi. Poległ waleczny Krzysztof Kluszewski, niosąc petardę, Zakrzewski śmiertelnie postrzelony, Farenbach od spisy, Szygowski, Madaliński, Sobański, Komorowski i wielu z towarzyszy od dział rany odniosło.

Zdobycie między rycerstwo rozdano. Hetman najhojniej udarował *Skirasmowskiego*, który pierwszy skoczył na wały, ofiarował mu bowiem dzielnego tureckiego konia, z bogatym siedzeniem, którego otrzymał od króla Zygmunta III. Inżynier francuzki *Guillaume Barquier*, który się w szturmie tym świetnie odznaczył, za poleceniem Chodkiewicza na sejmie udarowany został szlachectwem polskiem. Straż zamku zdobytego oddał hetman Madalińskiemu.

Zwycięstwo to rzuciło postrach na Szwedów, którzy dotąd podziwiali męstwo i natęczyłość jazdy polskiej, a teraz się przekonali, że taż sama jazda umie i pieszo walczyć i zdobywać warowne twierdze.

Z KOWNA DO WILNA.

Wyjątek z podróży

Władysława Maleszewskiego.

Niemen i Wilia przedemną!

Faldzista wstęga wody mknie żywo pomiędzy wyniosłymi ogrodami, w przelocie całuje góry i doliny, a nim spojrzysz zdołasz na te uściski, już się rozewnie, poskoczy w nagłym zakręcie i zniknie za wzgórzystym łańcuchem, co kierowany potęgą wody, ślad w ślad snuje się i łamie za jej harcującym prądem. Niemen tak nagle a wdzięczne robi obroty, że myślisz o przepaści która wody jego pochłania, a tylko mgła czerniąca w niebieskawym przezroczu i w łonie jej biały żągiel, co płynie w powietrzu jak skrzydło olbrzymiego orła, dają znać że Niemen nie przepadł, lecz chce wszystkie podnóża gór litewskich swą wstęgą ozdobić, wszystko ukochać, a potem dopiero, z milczącą pogardą, zginać w samolubnym morzu....

Na Niemnie spoczywają szeregi statków kupieckich, przytulonych pod mury starożytnego Kowna. Sliczny to widok, gdy spojrzysz na setki masztów, na tysiące lin najdziwniej poplątanych, na różnobarwny wieniec flag i chorągiewek: wszystkie, tchnąc jednym duchem, prężą się gniewne, że dalej, za Kowno, płynąć nie mogą. To też gdy puszcza kotwice, gdy statki wyciągną się w wędrowne szeregi, wzniezione maszty i różnobarwne bandery giną w oddali, i niknie ruchliwa ludność kupiecka.... Niemen płynie za Kowno daleko, w urodzajne lany litewskiej ziemi, ale niemieckim statkiem powyżej Kowna ani kroku dalej, bo w korycie rzeki kamienne olbrzymy. Tu więc skończona pielgrzymka flag i masztów, głoszących światu od rana do nocy.... handel!

Otóż i droga na Aleksotę, co złocisto, jasno, bogato, jako pieściodło natury, przeskakując Niemen, różnobarwnym cieniem wschodzi do Kowna.

Dziś widzisz tylko wyniosłe wzgórze, oprawne w srebrną wstęgę wody, odziane bujna, pyszną zielenią, dziś dumniejsz widokiem Aleksoty, bo patrząc na nią czujesz że „natura i dla nas nie była macochą“. Lecz rzuć się myślą w przeszłość, spojrzysz na wszystkie kurhany, świątynie i pogańskie gaje, zbudź ten lud krwią własną obłany w walce z nową wiarą, wysłuchaj jego pieśni dla tysięcy bogów, zlicz ołtarze i ofiary, a poznasz, że tu tylko krzyż jeden mógł zostać środkiem podbojów i zwycięstwa.

Dziś jeszcze tam spotkasz liczne pamiątki przeszłości: nad Niemnem, nad Niewiażą, nad Dubiszą wznoszą się pogańskie groby i dębowe gaje, sterczą ruiny po owych rozpustnych rycerzach krzyża, mieszkają boginie i bogowie, czezeni powieścią i przesądem naszego ludu; dziś jeszcze przeszłość Litwy odczytasz z trwałych pomników.

Z powieści ludu wiemy, że te nadniemeńskie wzgórze były mieszkaniem Aleksoty, bogini piękna i miłości, ale miłości dla której poganin nie mógł znaleźć kształtu; a więc Aleksotę czcili wszyscy, lecz nie w posagu lub malowidle, ale w uśmiechu kochanki, w srebrnym dźwięku strumieni i gajów, w całej wiosnie życia. Wonne lipy stroiły też miejsca święte, a wśród nich żyła czysta kapłanka Znicza, piękna Milda, która sama jedna tylko godną była wyobrazić boginię na ziemi.

Milda była Litwiną, córką księcia Erdźwiłła, którego żona Gertruda, Polka z rodu, pałała zazdrością do pięknej wajdelotki, za pieśni Dangeruthasa, naddobnego barda, nutą i słowem płacącego za serce. Polska branka kochała, ale miłością pogańską, bo pragnęła zemsty: kazała krzyż drewniany zawiesić na szyi barda, gdy ten spoczywał po krwawej walce z chrześcianami, a potem oskarżyła go o zdradę wiary, a więc i kraju. Wyrok skazał Dangeruthasa na ofiarę Zniczowi; związany więc, odprowadzony na górę Praurimie, znalazł się pod strażą swęj kochanki Mildy. Przez nią z więzów uwolniony, pod opieką mniemanego kapłana Oskara używał swobody i szczęścia, gdy kapłanka od swojego ołtarza spieszyła w cienie ustronie. Raz, podczas nieobecności Mildy, święty Znicz zagast, za co kapłankę skazano na spalenie, wraz z ulubionym jej bardem.

Już na stosie leżały ofiary, już płomień zajął się dokoła, gdy nagle, za sprawą Oskara, przez skryty otwór Milda z Dangeruthasem wpadają w podziemie, gdzie wznosił się ołtarz prawdziwego Boga; lud zaś, patrząc zdala na słupy dymu i ognia, cieszył się że ofiary dobrze od bozka były przyjęte.

Taka powieść żyje na nadniemeńskich wzgórzach, powieść piękna, żywa i namiętna, jak wszystkie które się tworzyły podczas walki chrześcijaństwa z pogaństwem....

Ze szczytów Aleksoty najpiękniejszy widok na Kowno, na Wilię, co miłośnicie całuje się z Niemnem, na wszystkie góry i wzgórze, które tyle tworzą dolin, ile jest załomów Niemna, ile płynie do niego wartkich strumieni.

Nad miastem strażują strzeliste wieże kościołów i ratusza, czerwone mury pysznieją nad gromadkami domów starych, potulnych; po Wilii suną czajki i tak rokosznie prują łono rzeki, że patrząc na jej zmarszczki, myślisz że Wilia się uśmiecha, wdzięczna za miłostkę głaskanie. A po górach, daleko, płoną czardziejskie ognie, zielony kamień topi się ze złotym metalem, światło gór występuje do walki z jasnością słońca.

Na niebie gaśnie słońce, bo na wzgórzach Niemna i Wilii goreją wszystkie Znicze pogaństwa; bogata jesień rozwiesiła tam pełno malowań, ozłociła każdy krzaczek, każdą trawkę; wszędzie wspaniała i szlachetnie dumna, olśniewa swym majestatem i pociąga dojrzałością....

A gdy się już ucieszysz piesciodłami natury, spojrzysz na litewskie pola, zasiane słomianami strzechami, pod którymi żyje lud boży, strojny w cnoty pracujących, bogaty nadzieją, mimo pracy i znoju uzacniany łzą niedoli, szczęśliwy pieśnią rodzinnej zagrody.

Gdzie spojrzysz, widzisz lud, co pracując modli się i wierzy. Ot tam, na górze, pastuszek wystruguje figurę świętych, a wystruguje tak mądrze, że cały lud, spojrzawszy na jego dzieło, zawoła: to święty Antoni! to święty Kazmirz! a to Chrystus pan.... Tam w chacie mieszka dziwny czarownik, któremu lud wierzy, który rządzi światem gadów i padalców i jednym słowem zakłęcia ścięra głowę najzjadliwшему węzowi... Tam lud spełnia swe obrzędy i wesela, co choć pleśnią pokryte, a jednak wonne, czyste i białe... Tam dzika kapela zawodzi tony, a dumny cymbalista duszę z człowika wyrыва.... Tam na wysokich kurhanach wznoszą się krzyże, bo w kurhanie leżą popioły praocjów.

Choćby tylko tyle obrazów stanęło ci na myśli, choćby tylko to jedno wspomnienie odmłodziło twe serce, już możesz lud zbierać w około siebie, bo poczujesz że serce twoje na jeden takt z jego sercem bije. O pewno wtenczas się przeżegnasz, pewno modlitwę wymówisz, boś już czołem uderzył w miejsce święte, bo ujrzałeś się pielgrzymem do serca ludu.

A lud ten boży jest stróżem naszych pamiątek: od niego tylko dowiemy się o rycerskich wyspach, o grobie Palemona, o walkach Giedyminów, on nam opowie historią *białej dziewicy*, on tylko pamięta gdzie Znicz gorzał, on zaprowadzi nas na szczyt Aleksoty i wskaże święte przeszłości zabytki.

Kowno karłowato i jakoś niesympatycznie przedstawia się oczom wędrowca, wchodzącego na ulice wązkie, otoczone różnych kształtów domami. Wieki ubiegły, Palemon wzięty został za bajecznego ojca Litwy, a syn jego Kunus za założyciela Kowna. Nie wędrowcom przelotnym dotykać i odgrzebywać spłowiałe karty, nieliczne pamiątki srogich klęsk ognia, powietrza i wojny; dla nich czarne mury są natychmiastowymi przedstawicielami przeszłości, są gotowymi gawędziarzami o minioniej niedoli. Nie tu miejsce oddrukowywać już ogłoszone historyczne poszukiwania, a tylko możemy dorzucić słówko prośby o zupełną i skończoną historią Kowna, o którą podobno wszyscy mamy prawo się upominać u miejscowego znakomitego archeologa i uczonego badacza naszej przeszłości. A przeszłość to wielka! Nie było wieku, w którymby Kowno nie ponosiło srogich ran od oręża i strasznych pożarów, a w niejednym zamieniało się w stos gruzów. Od XIV wieku Krzyżacy, pod wodzą najdzielniejszych swych mistrzów, robili napady na Kowno, które jednak walcząc, bogaciło się przeważnym handlem; lecz od wieku XVII zaczyna się jego upadek. Wszystkie te klęski straszną były plagą na archiwu, składy i zabytki, przedewszystkiem piśmienne, których też dziś podobno niewielebys naliczył, a kto wie czy ślad piśmienny przywilejów Jagielly i przywilej Zygmunta Staroego, potwierdzający prawo magdeburskie (dziś przechowany w muzeum wileńskim) nie są jedynymi w tym rodzaju pamiątkami.

Nie chcę tu być sędzią dbałości ludzkiej o pamiątki, o zbiory wiedzy i sztuki, o całość odłamków z pomników, ale jako wędrowiec, który wdarł się do jednej z tamedycznych bibliotek, nie mogę nie wyrazić żalu, że i dziś znaleźć można stopy ksiąg szacownych, drogich widać dla pierwotnych ich zbieraczy, porozszarpywane z niechęcią nieuków; książki, jak sążnie drzew mchem pokryte, walające się po najnieprzystępniejszych ką-

łachpył i gruba, odstrasza ją a wymowna kurzawa, tworzą pokrycie skarbów naukowych, a na tym pył nie dopatrzysz i śladu ręki ludzkiej. Zgroza bierze spotkać się dziś z takim niedbalstwem, z takim opuszczeniem, z takim zaparciem się wszystkiego, co potrzebuje pracy i zamięłowania.

Na wstępie do miasta wita nas czerwieniejąca się mała świątynia gotyckiego stylu. Ładny ten kościółek, niegdyś oo. franciszkański, był piękną gotycką budową, o jakich dziś marzą prawie wszystkie wyznania chrześcijańskie; lecz późniejsze przerobienia, zapewne zmniejszenie wież, (które tu w ogólności, oprócz wież na b. kościele oo. jezuitów, noszą jakby ślady ognia, tak są nagle i niesmacznie poucinane) i niektóre inne dodatki, musiały pierwotny styl świątyni w znacznej części zatracić. Opodal stoja rozwaliny klasztoru, z dnia na dzień po jednym odłamku przenoszące się do wieczności, a naprzeciw nich świątynia Perkuna(?) zatrzymuje obcego przechodnia. Świątynia ta, bez żadnego dowodu brana powszechnie za przybytek litewskiego boga, (bo oprócz kamiennego posążku Perkuna, znajdującego w jednej ścianie tej budowli, nie więcej nie popiera ogólnego mniemania), zbudowana w najpiękniejszym gotyckim stylu, niewielka, bo kilkanaście łokci zaledwie wysoka i mało co dłuższa, ma fronton mocno już uszkodzony, chociaż wysoki, łuki i powabne z kamienną cegłą gzym-siki, z wystającymi tu i owdzie spajającymi żelazami, wiernie odwzorują pierwotny budynek. Taką samą ścianą wznosi się i w tyle budynku, obie z połataniami tu i owdzie otworami, które sklezione z dzisiejszej cegły, śmieśnie i odrażliwie wyglądają przy kamienną całość, a połączone nowym, gospodarskiego stylu dachem, przemieniły się w paradne mieszkanie miłośników ciepła i wygody. Z dziwną bo też zrzęczością potrafią oni korzystać z każdego pamiątkowego zabytku: czy to świątynia

Perkuna, czy budynki dawnych faktori zagranicznych, czy opuszczone kościoły i klasztory, czy wreszcie szczątki zamku nad Wilią, wszystko to potrafią obrócić na swój użytek, szczęściem nie tynkując jeszcze wapnem wiekowych pomników. Przed każdą więc tu pamiątką można zawołać z podróżnikiem Göthego: A ty człowieku używasz życia na grobie!

Tam gdzie Wilia wpada do Niemna, Kunus miał wzniesić warowny zamek, zwany od jego imienia zamkiem Kunasowo. Każda burza wojenna, każdy pochód krzyżacki, pozostawia srogie ślady tak na ca-

łym mieście, jak i na litewskiej twierdzy, a Winrych Kniprode, wielki mistrz krzyżacki, staje się jego panem w r. 1362, zwyciężywszy wprzód Olgerda, Kiejstuta i Patryka książąt litewskich.

Krzyżak, co zwyciężył, to i zniszczył. Zaraz więc temu losowi uległ i zamek kowieński, a powtórnie odbudowany przez Litwinów, w r. 1383, podczas zapasów krzyżackich z Jagiellą, znowu zamieniony został w gruzy.

dliwy w swoich zamiarach i każe go zniszczyć ogniem i mieczem.

Dowódca zamku, spełniając rozkaz Witolda, za pierwszym ukazaniem się statków krzyżackich na Niemnie, baszty prochem wysadził, ogniem zniszczył resztę murów i z całą załogą udał się w góry. Odtąd zamek już się nie podniósł.

Rynek, to oko cyklopowe każdego miasta, odbudo-

wany zupełnie mocą ustawy czteroletniego sejmku, wyraźnie drżmie po tylu wiekach czujności. Kościoły i klasztory oo. bernardynów, fundacyi Szadziwojewskiego, marszałka grodzieńskiego w r. 1467, pp. bernardynek, ukończony w roku 1634 przez Massalskiego, jezuitów, w którym mieszkał Mickiewicz, augustyanów z czasów krzyżackich, jedynych zakonnych sług kościoła, do których należy i parafia, wznoszą się przy bokach, a pomiędzy temi stacyami wspaniałemi, skupione stoja pokornie s t a r e d o m k i, z zmarszczkami na ciele, a często i bez pokrycia; stoja także pyszniejsze kamieniczki, ale i te swą prostotą dziecinną zbliżywszy się do starców, tworzą jakby spłowiały szmat z jakiejś wspaniałej sukni. Jeden tylko ratusz silnie, potężnie wznosi się na środku rynku i wyraźnie do dzisiejszego pokolenia mówi: ze mnie jednego sędzicie o całej przeszłości! O i prawda! gdybyż rozbudzić tego olbrzyma, aby głosem ludzkim mógł przemówić, jakież ogrom tajemnic odkryłby przed nami! Bo ile tu głosów sejmowych przyłgnęło do ścian, ile spisków, zmów, projektów i wszelkich spraw ludzkich ze słowa w czyn dojrzało!

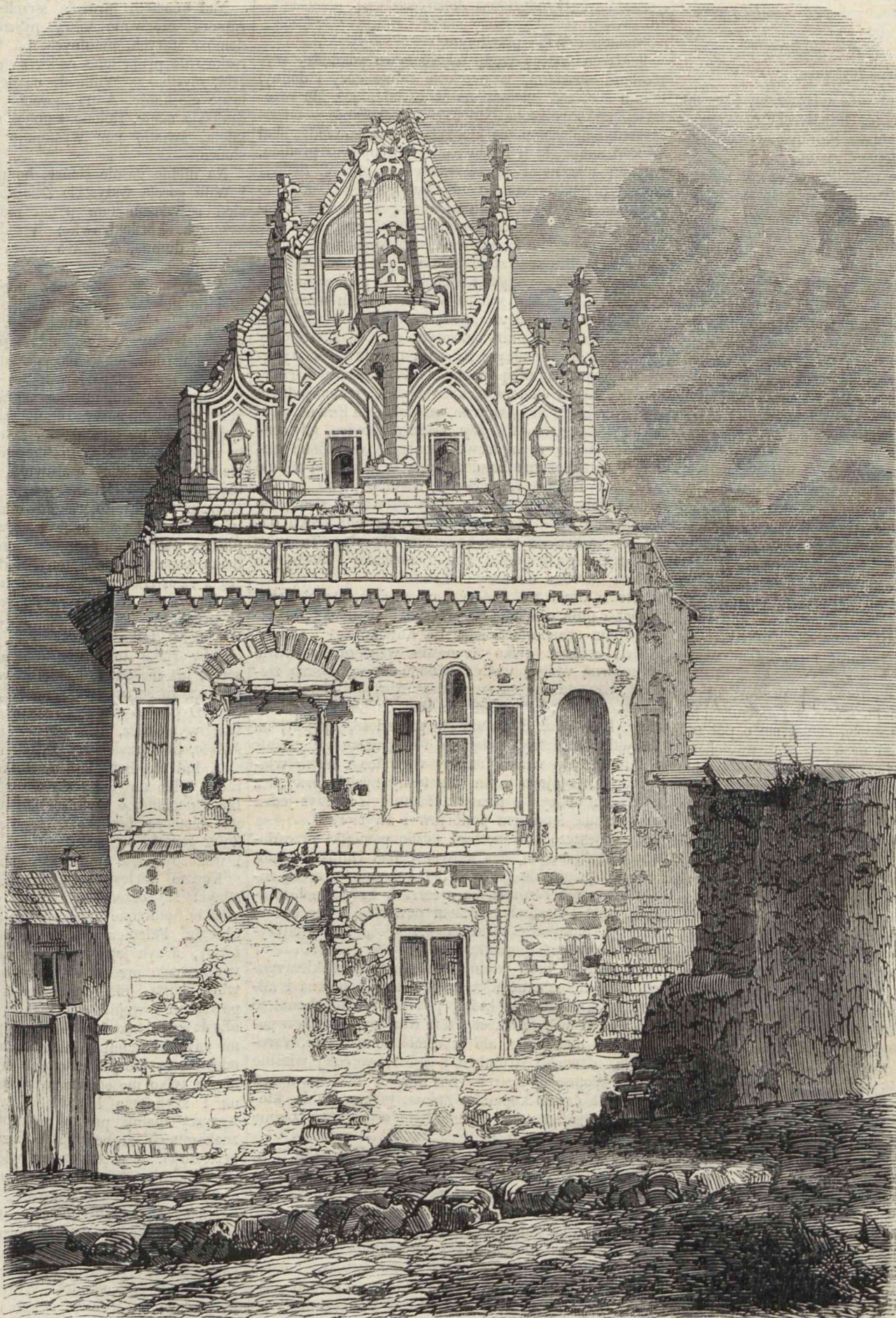
Ratusz ten, zbudowany w r. 1638 przez Albrechta Stanisława ks. Radziwiłła, z piękną trzypiętrową wieżą, jest główną ozdobą starożytności kowieńskich, a musi być silnym i groźnym, kiedy na wierzchołku wieży walny rycerz litewski, z dobytą szablą, od kilku wieków trzymając konia w galopie, nie chce kopnąć się z miejsca.

Świątynia tutejsze zadziwiają ogromem, a kościół oo. augu-

styanów jest gmachem, któremu co do wielkości zaledwie kilka u nas kościołów zrównać zdoła.

Z rynku, który choć poszarpany, milczy poważnie i duma, od razu wchodzi się w bagno handlu i przekupstwa. Ulica zawałona kramikami, w których zydostwo jak mrowie się krząta koło codziennego zarobku. Niegdyś Żydom w Kownie nie było wolno mieszkać, lecz podobno wszechwładny Becal, nadworny lekarz króla Jana, a ulubieniec pieniędzy wszystkich dostojników, zniósł niegościnne prawo i wprowadził do Kowna swych pobratymców, którzy

Szczątki murów, jakie dziś widzimy na wyspie zwanej Ritterswerder, to jedyna pozostałość po warownym zamku, wzniesionym na gruzach litewskiej twierdzy przez Krzyżaków, którzy wielkim kosztem zrobili wyspę przepok od Wilii do Niemna, utworzyli tę obronną wyspę. W r. 1384 Konrad Wallenrod podstąpił pod zamek, niosąc pomoc oblężonym Krzyżakom, lecz pobici zebrałi łaski u Jagielly. Witold znowu swoich zdradza, podając rękę Krzyżakom, skutkiem czego zostaje panem Kowna; fortyfikuje zamek i miasto, lecz pełen wykrętnych obrotów, uznaje zamek kowieński za szko-



ŚWIĄTYNIA PERKUNA W KOWNIE. (Rysował Cegliński, rytowano w drzeworytni Tygodnika).

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Olkuskiego, dnia 28 stycznia 1861 r.

następnie, korzystając z kłótni jasnie wielmożnych, po wszystkie czasy i wieki tu swoje panowanie utwierdzili. Pomnikiem też Becala jest cała ulica, co wychodząc od razu z rynku, wygląda jak błazeński latawiec, przyczepiony do pleców siwego starca, na pośmiewisko ślepij i rozpustnej gawiedzi.

Minawszy to przedmieście, zostawiwszy za sobą kilka kościołów i klasztorów, zamieszkałych lub opuszczonych, wjeżdżasz na nowe miasto. Piasek bałwański na głównej ulicy, a pyszne po swojemu domy ciągną się długim szeregiem, prowadząc na miejsca umarłych, na cmentarze i do kowieńskiej doliny.

Dolina sama, to ciche, powabne ustronie, to wązki przesmyk kilkowieństowy, łamiący się za biegiem czystego strumyka. Wysokie wzgórza okryte lasem, ciągnącym się niegdyś pod same mury Kowna, zacieniają to miejsce, niezdolne równać się z bogactwem natury w innych litewskich dolinach. A jednak wszyst-

W numerze ósmym Gazety Warszawskiej, z dnia 10 stycznia b. r., w liście z poczty miejskiej, wyczytaliśmy doniesienie, że p. Jan Kanty Gregorowicz, redaktor główny Kmiotka, opuszcza dalszy kierunek tej publikacji, gdyż ta w inne przechodzi ręce.

Pożegnania Janka z Bielca, który w każdym numerze tego pisma z swoimi czytelnikami rozmawiał, nie mogliśmy zrozumieć, bo było istotnie niejasne i niezrozumiałe, a nam tu na wsi wszystko, jak to mówią, łopata do głowy kłaść potrzeba, w bawełnę bowiem obwijane doniesienia w ciasnych naszych głowach zmieścić się nie mogą.

wiejskim życiu idziemy zawsze z nabitą bronią na polowanie, bo nabijać ją w tenczas, kiedy zając z pod jałowca pomknie, cokolwiek byłoby zapóźno.

W dalszym ciągu swój korespondencyi, autor listu powiada, że w dzisiejszym stanie oświaty ludu wiejskiego, zostaje on obcy wszelkiemu ruchowi umysłowemu, nie czuje bowiem głodu duchowego, że lud nie czyta, bo czytać nie umie, a chcąc go nauczyć, trzeba iść powolną i mozolną drogą ochrony i szkółki, działanie zaś aprioryczne nie wywrze tu żadnego skutku, trudno bowiem ślepego mówić o kolorach. Prawda i wielka prawda, ale trudno także powiedzieć ślepego: kiedyś ślepy, to stój na miejscu, nie ruszaj się, bo poprowadzonym być nie możesz.

Szkółka i ochrona jest użyteczną dla czteroletnich, pięcioletnich i kilkunastoletnich dzieci wiejskich i przyniesie w przyszłości najpiękniejsze owoce, ale coż damy czterdziesto, pięćdziesięcio i osmdziesięcioletnim



ZAMEK W KOWNIE. (Rysował Cegliński, rytowano w drzeworytni Tygodnika).

kie wzgórza wtenczas dopiero zaczynają kwitnąć i pokrywać się kwiatem, wtenczas wydają woń i przyjmują w swe gaje leśnych śpiewaków, kiedy kowieńska dolina kwitnąć i kraśnić poczyna. Życie jej jest hasłem do życia wszystkich niw, gór i ustroni; śmierć jej jest śmiercią litewskiej wiosny. Niegdyś tu nasz wieszcz spędzał najroskoszniejsze chwile swojego życia; zawsze samotny, unikający towarzystw, tu przychodził cieszyć się pięknosciami świata, tu czuł całym sercem, oddychał całą pierśią; tu pokochał Kowno i jego pamiątki, tu czerpał i znajdował zawsze natchnienie do swoich pieśni. Potężny duch jego namaszczył to miejsce: wejdziesz do doliny, i w tobie już inny świat, w sercu jakaś rzewność, w myśli sama czystość. I nigdy, nigdy te wzgórza, drzewa i strumyki nie zdradzą wieszczą, wiecznie oddychać będą jego wspomnieniem.

(Dokończenie nastąpi.)

Zgadamy się zupełnie ze zdaniem autora listu, że zmiana redakcyi w każdym piśmie jest ważnym faktem, tak dla pisma, jak i dla czytelników; ale nie możemy zgodzić się na uwagi, jakie nam w liście swoim wyraził, i dlatego prosilibyśmy o rozważenie zdania, które z wiejskiego zacisza objawić pragniemy, jako obeznani dobrze z potrzebami naszego ludu, dla którego moralnego szczęścia pióro, kałamarz, papier i jeszcze dużo więcej poświęcić jesteśmy gotowi.

Zgadamy się najzupełniej z autorem listu, że pan Gregorowicz dał niezaprzeczone dowody, iż obecnie z grona literatów posiada najwięcej warunków do osiągnięcia tego arcytrudnego celu, jaki przewodniczy pisarzowi ludowemu; ale nie możemy zgodzić się na to, że prace pisarza ludowego dziś są przedwczesne. Zdawałoby się, że w świecie ducha i literatury, podobnie jak w świecie materyalnym, istnienie rzeczy wywołuje potrzeba, a gdzie jej niema, tam i przedmiot na pozór nie istnieje; ale w praktycznym

weteranom i inwalidom naszego ludu, którzy nam właśnie dowiedli umysłowym ruchem w swoich klechdach i pieśniach, że czują w sobie ten głód duchowy, którego im autor listu zaprzecza? Korespondent mówi dalej, zbijając własne swoje na wstępie objawione zdanie, że w tym umysłowym ruchu ludu naszego, pisarz ludowy powinien pochwycić złotą nitkę klechd i powieści, które pod słomianymi strzechami krążą. Zdaje się więc, że ten ruch umysłowy i ten głód duchowy istnieją w naszym ludzie, a zaspakajający go niekoniecznie potrzebuje zaczynać od elementarza i katechizmu, i staremu, dlatego że ślepy, kazać być jeszcze głucho-niemym; bo katechizmem i elementarzem należy przygotować młode pokolenie do przyszłych pojęć, ale w pracach dzisiejszych pisarz ludowy o tych inwalidach i weteranach zapominać nie może i nie powinien.

Jeżeli odczyty publiczne o astronomii, geologii, higienie i t. p. nie są bez skutku dla ludzi wykształ-

conych, dla czegożby odczyty abonowanego dla włóscian przez dominia pisma, nie mogły także odnieść pożądanego skutku w wioskach po kraju naszym rozsianych, dla czegożby włóscianie nieumiejący czytać nie mieli korzystać *stuchem* z prawdy, którą im Janek z Bielca serdecznie objawił, kiedy może nie jeden słuchacz publicznego odczytu, zapomniawszy przy innych zatrudnieniach, jakim sposobem sprowadza się ulamki do wspólnego mianownika, korzysta z tysiąc razy trudniejszej nauki astronomii *stuchem* tylko, a nie czytaniem i badaniami?

Najmocniej przepraszamy za tak śmiałe porównanie, ale stając w obronie biednych naszych i nieoświeconych kmiotków, musimy używać wszelkich wybiegów prawnych, jakie każdemu obrońcy w sprawie przez niego wnoszonej służą. Słuchamy z wiarą i uszanowaniem zdań nad pismami, o których sąd przechodzi nasze zdolności, ale prosimy o pozwolenie objawienia zdania o najmniejszym do nas należącym piśmie, nad którym tylko my, rzemieślnicy przy tym warsztacie ziemi naszej, najbliżsi sąsiedzi kmiotków, praktyczne uwagi czynić możemy.

Zdaje nam się że broszurowanie odczytów publicznych nie przyniosłoby takiego skutku, jaki przynosi publiczna prelekcyja, ze stosownymi w każdym razie objaśnieniami. *Czytanie* jest mniej więcej dowolne, *stuchanie*, z moralnych powodów, więcej przymusowe, bo jeden słuchacz dziesięciu za sobą pociąga. Dlatego zdaje nam się, że i broszurka Janka z Bielca, sprzedawana na bibule, nie przyniosłaby takiego użytku, jaki przynosi pismo peryodyczne, redagowane w opowiadaniach Janka z Bielca dla kmiotków, a w opisach rażących nadzwyczajnością zwierząt, gadów i t. p. dla młodego pokolenia, dla dzieci posiadaczy większych, którzy w przyszłości staną się ich przewodnikami. Pismo to, z największą ochotą i serdecznością przez dominia prenumerowane, nie było przedwczesnym, i ten głód duchowy, który w każdej istocie na obraz i podobieństwo boskie stworzonej istnieje, zaspokoić mogło.

Następnie radzi korespondent pisarzom ludowym, którzy, jak sądzi, *marnują swe siły dla ludu nie umiejącego czytać*, obrócić je dla oficyalistów, ekonomów organistów, kolonistów i obywateli mało-miasteczkowych, którzy mają większy *apetyt do czytania*. Nie przeczymy, że o tej klasie ludu zapominać nie należy, i właśnie dla tych, którzy są więcej pozbawieni opieki dominialnej, broszurki byłyby stosowne, ale w innym zupełnie duchu jak Kmiotek redagowane, bo inne są pojęcia ludu, a inne mających się za coś wyższego mieszkańców miasteczek, organistów i t. p. Pismo dla nich wydawane musiałoby i tytuł zmienić, aby bagatelą nie zrazić chęci do czytania.

Jakikolwiek kierunek nadany zostanie w przyszłości Kmiotkowi, dziękujemy serdecznie p. Gregorowiczowi za 27 jego numerów, właściwie, na czasie i pocziwie redagowanych. Oczekując od nowej redakcyi dalszego rozwoju tego piśmie, które tak małym kosztem włóscianom naszym, dla *zaostrzenia apetytu duchowego*, raz na tydzień przeczytać i objaśnić możemy, prosimy Janka z Bielca, żeby długo nie milczał, i takim samem dzielnie redagowanym opowiadaniem, jak w ostatnim numerze *pożegnania starego roku*, przywitał kochających go kmiotków.

W imieniu kilkunastu rolników — F. S.

Wyjątek z listu Karola Szajnochy

do

Redakcyi Tygodnika Ilustrowanego (*).

...Trudno mi pisać więcej o rzeczach literackich, mając ciężkim żalem serce ściśnione. Od 48 godzin jest tu na skonaniu mój blizki krewny, bo brat cioteczny, najmłodszy z tutejszych pisarzy naszych, Walery Łoziński. Umięra z rany w pojedynku odniesionej, zaledwie 24 lat życia doszedłszy. Pełen talentu, zapału i niezwykłej łatwości pióra, był on już w tym wieku jedną z najczynniejszych sprężyn tutejszego ruchu literackiego, a obiecywał nierównie więcej. Znałście go z kilku powieści, a mieliście go poznać podobno jako korespondenta do Tygodnika. Mnie on tém bliżej obchodził, iż obok wspólności krwi i zawodu, łączyło mię jeszcze z nim podobieństwo początkowych kolei życia. Kiedyś w lecie r. 1837 jako 19-letni chłopiec wydobyl się na swobodę, i uwożony przez

(*) W ostatnim numerze Tygodnika uczyniliśmy wzmiankę o śmierci W. Łozińskiego, dając zarazem ogólną charakterystykę jego talentu. Dziś korzystamy skwapliwie z pozwolenia historyka naszego, ogłaszając wyjątek z jego listu, w którym donosi nam bliżej o życiu i pracach zmarłego. (Przyp. red.)

matkę na wieś, wstąpił z nią do domu rodziców Walerego, był on dziecięciem w pieluchach. Odtąd przez lat kilkanaście z losem i trudnościami obranego zawodu walcząc, nigdy go już ani razu nie spotkał. Dopiero przed pięćmi laty, kiedy po długim mianowaniu z miejsca na miejsce, doczekałem się nakoniec własnego zakąta domowego i urządziłem go na przyjęcie w nim żony, zjawił się przedemną, w pustym jeszcze mieszkaniu, 19-letni młodzieniec oryginalnej powierzchowności i oznajmił się jako cioteczny brat mój Łoziński. „Przyjechałem do Lwowa, mówił, aby sobie jakiego utrzymania literackiego poszukać.“ Było to moje własne położenie za przybyciem do Lwowa przed laty kilkunastu. Ale od tego czasu znacznie na korzyść literatów odmieniły się rzeczy. Nie potrzebował już dawać lekcji po kilka groszy, albo tłumaczyć dla księgarzów niemieckie książki kucharskie, jak to moim i najszanowniejszego z przyjaciół moich było udziałem. Znalazł od razu umieszczenie przy redakcyi Gazety lwowskiej i miał tam przez lat kilka wszelką swobodę do kształcenia się w swoim zawodzie. Jeszcze większą zachętą były mu związane niebawem stosunki z redakcyą tutejszego pisma literackiego, które pod kierunkiem rzetelnie zasłużonego tém Dobrzańskiego, stało się szkołą wszystkich prawie młodych pisarzy i literatów tutejszych. Do ich też garnąc się grona, napisał Ł. wkrótce obszerniejszą powieść *Szlachcic chodacki*, która wysoce uzdolnionem, lubo niewprawnem jeszcze skróśloną piórem, powszechną tu młodzieńczemu autorowi pozyskała przychylność. W rok później Łoziński ogłosił drugą powieść w dwóch częściach: *Szaraczek i Karmazyn*. I w tej znowuż wiele świetnych i zajmujących rysów, a nawet znaczny postęp, zwłaszcza w unikaniu przesady w opiniach i kolorycie. Ale największą zasługą i chwałą jego młodocianego zawodu była trzecia powieść w trzech częściach, *Dwór zaklęty*, uderzająca w istocie niezwykajnymi polskimi imaginacyi, humoru i talentu charakterystyki. W zeszytym nareszcie roku wydrukował powieść *Dwie nocy*, i drugą *Czarny Matwij*, obie wzięte z życia mało-mieszczan i ludu, które Ł. najlepiej znał i malował. Na takiemże tle pisywał wiele powiastek i obrazków dla wychodzącego tu pod redakcyą Bielawskiego pisma dla ludu *Dzwonek*, a gdy niedawno temu ogłoszono we Lwowie nagrodę za napisanie książki dla ludu, któraby w szeregu powiastek przypominała zasłużonych w historii naszej włóscian, Ł. w krótkim czasie ułożył dziełko *Ludzie z pod słomianej strzechy*, i odniósł premium. Oprócz tego podał do przedstawienia na scenie tutejszej komedyą staro-szlachecką *Verbum nobile*, przyjętą w r. 1859 z bardzo głośnym oklaskiem, i próbował się w powiastkach i szkicach historycznych, umieszczanych w Rozmaitościach lwowskich z r. 1858 i w zeszytowanym Kółku rodzinnem. Osobliwie ostatni z tych szkiców w ostatnich numerach Kółka, pod napisem *Starsza siostra Zygmunta Augusta*, powszechnie się tu podobał, i mógł dać podniecie do większych prac w tym rodzaju. A ileż to jeszcze mniejszych powiastek i artykułów miał Ł. w pogotowiu, na zawołanie każdej z przyjaznych sobie redakcyi! Bywały chwile, w których głównie Ł. podtrzymywał je i zasiliał. Pod tym względem strata jego da się uczuć boleśnie tutejszemu życiu literackiemu, szczególnież dziennikarstwu. Stać się zaś potrzebnym w rzeczach godziwych — potrzebnym swojemu zakątowi rodzinnemu i ziomkom swoim, choćby tylko najbliższym, nie pięknyż to wieniec na grobie? W dwudziestu czterech latach niełatwo było zaiste zdobyć sobie cenniejszego. Jakoż żal nam cię, żal cię szczerze, młody nasz bracie!... Zmarł wieczorem 30 stycznia 1864.

Z tej szerszej nad spodziewanie wzmianki, możesz, kochany redaktorze, jeśli zechcesz, zrobić użytek w Tygodniku, jako z listu odemnie. Jednocześnie doszła tu wiadomość o podobnejże śmierci młodego Bielawskiego, do niedawna redaktora *Dzwonka*. Aż do końca pobytu we Lwowie mieszkał przez kilka lat z Łozińskim i bardzo się obaj kochali. Dziś, po kilkumiesięcznym rozłączeniu, obaj w różnych stronach tą samą śmiercią w grobie, tak młodzie!...

N I G D Y.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Trochę o pożyciu małżeńskim państwa Kaźmirzów.

Pan Kaźmirz tedy został obywatelem, i majątnym obywatelem. Miał pałac, mieszkał też i żył w pałacu. Nieobznajmiony z gospodarstwem, miał rządząc, a sam

czytywał albo przesiadywał w buduarze żony. Miłość dawała mu zatrudnienia niemało. Żona była często słabą, a wymagającą zawsze.

Pan Kaźmirz przed ślubem ułożył sobie systemat, wedle którego z żoną postępować będzie. Systemat ten polegał na tém, żeby względem bogatej i znakomitego rodzaju kobiety, zachować nienaruszoną w całkowitej całkowitości powagę i godność męża. Uzbroid się do walki i gotował się utrzymywać zawsze niezłomną, niezachwianą *swoję wolę*.

Tak przysposobiony, czekał zaczepki, walki i tryumfu. Tymczasem zaczepka nie przychodziła. Helenka, jak wszystkie słabe istoty, tak zatoneła w miłości, tak się zapatrzyła w doskonałość męża, tak się roztopiła w szczęściu posiadania go, że nie uratowała ani odrobiny własnej woli i samodzielnej myśli. Ani wyjrzała za próg pałacu, ani zapragnęła czegokolwiekbądź innego, jak żeby mąż ją kochał, pieścił, był przy niej. Każde jego słowo było wyrokiem nieomyślniej mądrości, każdy krok, wzorem niedoścignionej doskonałości. I ona miałaby mieć jaką wolę swoją! miałaby zdobyć się na jakie odrębne zdanie! Nigdy jęj to w myśli nie powstało. Jeżeli chciała czego, to tego, żeby się mąż z domu nie oddalał, żeby jęj w domu o ile można na krok nie odstępował; a zresztą, co ją obchodził świat za progiem gabinetu lub buduaru? Ona się tylko bała, żeby z tego świata nie przyszło coś takiego, coby czoło męża zachmurzyło, lub go od niej oderwało. Pan Kaźmirz zaś, widząc że nie będzie wywołany na żadne pole z bronią, z którą się przysposobił, obrócił ją na drobne utarczki, na pokojowe walki. Żeby się utrzymać na swoim stanowisku, żeby odbić niejako przed ślubem upokorzenie, z góry czuł się obowiązany najniewinniejszym, najdrobniejszym życzeniem żony odmawiać.

Z początku, kiedy ona go prosiła żeby przeszedł do jęj pokoju, albo wyszedł z nią do ogrodu, Kaźmirz udawał że woli czytać u siebie, i drzwi na klucz zamykał. Kiedy ona wzywała go na radę do oranżeryi, on wymyślał konieczny interes gospodarski. Kontent ze swojej powagi i przewagi, całował ją z góry w czoło i wychodził w pole. Z początku udawał i siłił się na ocalenie swęj niepodległości; potem może i udawać nie potrzebował chęci odosobnienia. Bo rzeczywiście, może to pochlebnie być bóstwem, bałwanem na wysokim piedestale, ale jeżeli pochlebnie, to doprawdy nudno.

Helenka płakała, mizerniała, chorowała, i martwiła się że mizernieje, choruje, że się zmieni, mężowi sprzykrzy, a ze zmartwienia znów wpadała w nerwowe rozdrażnienie. I powoli, powoli w owym odosobnionym od świata raj, przekwitły kwiaty, a ciernie coraz widoczniej, coraz dotkliwiej sterczały.

Czasem skłuty niemi Kaźmirz, zmęczony uspokajaniem rozdrażnionej Helenki, wychodził odetchnąć na przechadzkę. Czasem gruppa drzew tak samo ustawiona, zapach tych samych łącznych kwiatów, czasem gromadka furkających ptaków, przypominały mu mimowolnie niedawną majówkę. Jak zawsze bezbrony, dawał się owładnąć złudzeniu i nieraz zdawało mu się na tych przechadzkach samotnych, wiosennych, że to od serca Anny wieje pogoda i cisza. Nieraz, kiedy zamykał oczy przed blaskiem słonecznym, przed zmużoną powieką przemknął wzrok Anny, niedostrzeżony, niezrozumiany kiedyś. Teraz w tym wzroku czytał poświęcenie bez granic, teraz zdawało mu się, że promienie tego wzroku siałyby w jego duszę siłę, zachętę, że onby rósł pod tym wzrokiem, że od niego klarowałyby się męty jego duszy i na dnie ciche osiadały. Pochylał głowę, rzucał ster myśli i dawał się unosić falom mglistym tęsknoty, wspomnienia, żalu. I to zatonięcie w ulubionem a niezapomnianem „*le vague, l'indéfini*“, stanowiło jego jedyną *satysfakcyą i dystrakcyą*.

A Helenka? Helenka, leżąc w swoim buduarze, trzymała w ręku książkę jaką; ale przymykały się ciężkie łzami powieki, ręka, zmęczona ciężarem książki, opadała bezwładnie, a kiedy się dał słyszcć szelest jaki lub skrzypnięcie drzwiami, rumieniec nagły twarz jęj oblewał, zrywała się i biegła do lustra, patrzeć czy cienka batystowa chusteczka dostatecznie ślady łez zatarała. Oczy jęj nieruchomie tkwiły we drzwiach, dopóki najdalsze echo kroków nie przeminęło. I znów wracała na aksaminne poduszki, na które coraz to bezwładniej opadała jęj głowa.

Coroczne przez trzy lata do wód, do mórz podróże, nie dały siły na życie, bo nie było jęj w duszy. Naucono ją haftować, grać trochę, modlić się na francuzkiej książce, ale *żyć* nie nauczono. Prędko też uległa w pierwszój próbie.

Trzeciego roku z jesienią powróciła słabsza i nie doczekała przyszłej wiosny. Zostało po niej dużo haftów delikatnych i cienkich; nót z imieniem powietrznym, nikłym „*Hélène*“, została książka do nabożeń-

stwa perłową macią wykładana i mnóstwo rzeczy nieużytych z wyprawy....

VII.

Jeszcze Anna.

Było to w końcu października. Anna właśnie przedwodniczyła urządzeniu domowemu przed zimą. Zamknięto już ostatecznie i zalepiono drzwi wiodące na balkon. Pokój ojca, salonik, dostatecznie już były opatrzone. W swoim jeszcze pokoju układała mech za oknem, przetykając go borówkami i bukszpanem, kiedy cała zarumieniona i zdyszana wpadła Józia, dziewczynka którą miała na wychowaniu, wołając:

— Proszę pani! proszę pani! Jak się pani ucieszy! Wię pani kto przyjechał?

— Któż taki?

— Panna Jadwiga. Spotkałam ją, idzie do pani. Tylko ja wprzód pobiegła, żeby się pani przedzej ucieszyła.

Twarz Anny rozpromieniła się serdeczną radością. Na całym świecie nie miała nikogo równie z nią jednomyślnego, u nikogo nie znajdowała takiego zrozumienia i ukrzepienia, jak u Jadwigi. Nie widziała jej kilka miesięcy, to też skoczyło w niej serce od radości i żywy rumieniec twarzy oblał.

— Moja Józio, odprężnij się trochę! Ten koszyk i piasek z mego pokoiku, ustawisz wszystko na swoim miejscu, żeby było porządnie jak tu przejdziemy. Weź zład robotę swoją, żebyś nam potem nie przeszkadzała, a jeżeliby kto obcy przyszedł, powiedz że się widzieć nie mogą.

— Dobrze, proszę pani, odrzekło rozgarnione dziewczę, a Anna wybiegła do sali, i Jadwiga nie miała czasu dzwonek poruszyć, kiedy już Anna drzwi uchyliła i na szyję się jej rzuciła.

— Pójdź, pójdź, moja jedyna, nie mogłaś w lepszej chwili się porzą. Jestem zupełnie wolna i sama.

— Sama? A ojciec?

— Ojciec dziś ma obiad jakiś składkowy, z czego ja korzystałam, żeby zrobić porządki, i właśnie już wszystko skończone. Pójdź do mego pokoju, rozgość się, każę zapalić lampkę, nastawię samowar, będziemy siedzieć, gadać, choćby do noce. Chodź, Józia mi pokazuje że już pokoik ustawiony.

— Idę, idę, czekaj tylko, bo tu niosą kosz z owocami, a te owoce, widzisz, to mój tryumf, a z każdego tryumfu najpierw przed tobą chwala.

— Będziemy sobie opowiadać wzajemnie swoje tryumfy, tylko rozbiierz się przecie, usiądź, spoczni.

Dwóch ludzi wniosło ogromny kosz pięknych owoców. Anna, jako ze znajomymi sobie (bo letnie miesiące przebyła u stryjostwa Jadwigi), serdecznie się przywitała.

— Jak się macie, Wojciechu? A to wy, Błażeju? Jak się macie? Cóż tam u was słychać? Kiedyż było wesele waszej Marysi? A Józka przywieźliście do terminu? Przyprowadźcie mi go nim odjedziecie i przykażcie żeby co niedziela do mnie przychodził. Bądźcie spokojni o niego, już ja się rozmówiłam z majstrem, a jakby mu była jaka biada, to zawsze może przyjdzie do mnie, poradzić się albo pożalić.

I poskoczyła do spiżarni, wyjęła chleb i talerz z mięsiwem, częstując Wojciecha i Błażeja. Julianna kucharka i Józia przybiegły się witać z Jadwigą, która im z podróżnej torebki jabłka i gruszki rozdała. Julianna zakrzątnęła się koło samowaru, a Józia wniosła lampkę do pokoiku Anny, gdzie już na sofce obie z Jadwigą siedziały, i drzwi zamknęła.

Raz jeszcze długie, serdeczne nastąpiło uściskanie.

— Od czego tu zacząć? Tyle się uzbierało!

— Zaczynaj już, zaczynaj od twego tryumfu, bo widzisz że cię korci.

— Niech będzie od mego tryumfu, a rzecz jest taka. Wiiesz że u nas co rok ogród wypuszczano sadownikom, którzy zawsze owoce niedojrzałe otrzęśli, drzew nałamali, ogród zanieczyścili, warzywo w połowie wykopali, a do tego ze wsią ciągle były sprawy i skargi. Co rok prosiłam o niedopuszczenie sadowników; co rok mi odpowiadano że rozkradną wszystko, a sadownik przynajmniej zapłaci. W tym roku uwzięłam się, powiedziałam że ja wezmę ogród w dzierżawę, że zapłacę tyle, ile obiecywał dać sadownik. W pół zarętem, w pół seryo, stryj przystał na to, i oto są rezultaty: należytość całkowicie wypłaciłam, zeszedł niedzieli dwa wielkie kosze na wieś rozdałam, sprzedałam w miasteczku owoców za 30 złp., i ten koszyk, jako trofea zwycięzki, u nóg twoich składam.

— Brawo! brawo! Ale nie zmieniamy porządku. Wiiesz że po naszym najprzód zło, potem dobre.

— Czy ty masz tak wiele złego?

— Nie bój się, mam i dobre, i schowam je na osłode.

— Weźmy się tedy do goryczy. Jakież masz teraz zmartwienie najważniejsze?

— Najważniejsze? Stefcia. Ty wiiesz najlepiej ile sobie z niej obiecywałam. Tyś mnie zawsze prześlada-

wała, że ja się przekupić daję jej słicznym, figlarnym oczkom, jej dowcipowi i ładnym minkom, i że w sądzie o niej dopożyczam ze swego. Terazbym prawie uwierzyła, żeś miała rację. Wiiesz że ciotce nikt na świecie nie mógł wyperswadować owego „dokończenia edukacji“ w Dzeźnie. Z Dzeźna tedy Stefcia pisuje do mnie listy, w których widać tyle rozproszenia, tyle zajęcia sobą, taki wyraźny zwrot do lafiryndyzmu, że niewiele podobno z niej na przyszłość pociechy.

— Żle! Cóż dalej?

— Wacław coraz bardziej upada na duchu, coraz więcej goryczy, zwątpienia w jego listach. Kosztuje mnie korespondencja z nim, bo mnie podejrzewa że się sadzę na optymizm, że mu z urzędu pisuję pocieszająco. W ostatnim liście taki mu się wymknął sarkazm, że o mało, o mało com się nie zachwiała, nie zniechęciła zupełnie.... Ale nie bój się, to była chwila. — Mam wiarę i miłość jeszcze trochę dla mego braciszka. Już na ten list odpisałam, i jak zawsze, dla ciebie zostawiłam kopię. Przeczytajmy później.

— I jeszcze co?

— Wystaw sobie, wujenka się mną tak łaskawie opiekuje, że dowiedziawszy się iż Kaźmirz jest w Warszawie, wysłała męża do niego, zapraszając go, na mocy niby dawnej znajomości. Nic o tym nie wiedziałam. Raz natrętnie nalegała na mnie, żeby przyjsz wieczorem. Właśnie głowa mnie bardzo bolała i isć nie mogłam. Nazajutrz od wuja, który czasem bywa *enfant terrible*, dowiedziałam się że był Kaźmirz i że ten wieczór umyślnie jej wujenka miłość zaimprovizowała.

— I później nie spotkałaś się tam z nim?

— To było niedawno. Powiedziałam wujence parę słówek prawdy, o które się gniewa i wcale mnie już nie zaczepia.

— Hm! wszystko źle, o tyle źle, o ile spustoszenie w duszy zrządz, o ile zuboży wiarę i siłę, o ile zamści światła oczom. Patrę na ciebie, ale jakoś mi się nie zdaje żebyś źle cierpiała, od tego czasu jakieś się nie widziały. Wyglądasz mi trzeźwa, silna, pogodna i zbogacona.

— Jestem nią rzeczywiście, odparła Anna, kładąc rękę Jadwigi na sercu. *Jestem z Bogiem*. Znajdzie się to i owo, co zamąci, ale już nie do dna; dno coraz mniej ruchome, w coraz twardszy, trwalszy grunt się ścięle. Czasem, jak wiatr ze świata nowe tumany nanieśie, nim osiadą, nim się z pokładem zrosną, to trochę bywa biędy z niemi. Czasem zmęczy praca trawienia wrażeń, porządkowania przeróżnych głosów; czasem, ni z tego ni z owego, z dźwiękiem posłyszonym na ulicy, z listkiem opadłym, z powiewem jakąś daleką woń przynoszącym, rozbudzi się nieproszona tęsknota, i także bięda z jej zagadywaniem; ale... ale z tym wszystkiemi *wierzę* i pracuję jak mogę, i mam chwile, których za lata szczęściabym nie oddała.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Redakcja Tygodnika Illustrowanego otrzymała rs. 3 bezimiennie z miasta Ługi, na nagrobek dla s. p. Dominika Szulca.

Panu J. P. w Żytomierzu. Wzmiankowane szkice znalazłes Pau już w N. 71 Tygodnika. O rychle spełnieniu obietnicy uprzejmie upraszam.

Panu J. M. w Berdyczowie. Rebus trafnie odgadnięty; dotychczas jednak podobnego rodzaju *prac umysłowych* (!) nagradzać nie mieliśmy zwyczajem.

Panu F. B. w Żytomierzu. W N. 28 Tygodnika daliśmy już obszerne ocenie komedyi „Dla milego grosza“, napisanej przez A. Plugę, którego sposób zapatrywania się na ten utwór zupełnie jest odmienny od pańskiego.

Panu M. K. w Białym. Robimy wszystko co tylko jest w naszej mocy. Kilka kopii obrazów z wystawy krajowej zamieściliśmy już w Tygodniku; kilka innych mamy przygotowanych. Na wielkie jednak reprodukcje w tym rodzaju, nie starczą jeszcze nasze siły drzeworytnicze, a po części i materialne.

Panu K. S. w Warszawie. O wizerunku Jana z Czarnolesia oddawna już myślimy; idzie tylko o przygotowanie rysunku z jednego autentycznego popiersia naszego wieszca, znajdującego się w Zwoleniu.

Panu Wł. K. w Warszawie. Nadesłany wierszyk nie da się zastosować do żadnego z przygotowanych drzeworytów; osobno zaś drukować go nie możemy.

Panu S. W. w Kłobce. Serdecznie dziękujemy za wyrazy pełne życzliwości; powtórzycich jednak w Tygodniku nie możemy.

Panu Michałowi O. w Trzecinkach. Różnych podgatunków szarańczy społecznej dużo jeszcze dalałoby się wynaleźć; my jednak wybraliśmy główniejsze tylko typy, mając przytęm na szczególną uwagę, aby przedmiot dał się obrócić i pod względem rysunkowym. Plotkarki, intrygantki i swachy zbyt mało w tej mierze przedstawiają plastyczności.

Księciu G. w Stariej wsi. Termin do rozwiązania zadania szachowego w Nrze 69 Tygodnika, na wyraźne żądanie autora, oznaczyliśmy na dzień 1 marca r. b. Jeżeli pismo zagraniczne podaje wcześniej, nie nasza w tym wina.

Panu E. W. w Warszawie. Artykuł p. t. „Marzenie szczęścia“ w Tygodniku drukowanym być nie może.

Panu W. B. w Warszawie. Obrazek pański jest do dyspozycji jego w kantorze wydawcy Tygodnika.

BIAŁOGON I JEGO ZAKŁADY.

Zapewne od czasu, gdy biskupi krakowscy mieli w posiadaniu klucz kielecki, weszło w zwyczaj, iż część kraju naszego położoną na południe za Kielcami, nazywają Krakowskiem, chociaż do Krakowa daleko, a ziemia słusznie nosząca to miano, jest jeszcze od Kielc oddzielona innemi powiatami.

Nie wchodząc jednak w zasadność tego zwyczaju, przyznać należy, iż Białogon z fabryką machin i narzędzi rolniczych, stanowiący niby pierwszy początek stron krakowskich, słusznie jest przedstawia. Położony bowiem w nizinie otoczonej lesistemi górami, miły dla oka daje widok, i zaprawdę, trudno jest oprzeć się chęci poznania go bliżej.

Z jednej strony (jak rysunek przedstawia) ma piękny wodozbiór, zasilany źródłami, u stóp skalistej góry wytryskującymi, na którym ruchome kępy, bujnie porośłe tatarakiem, dają schronienie dzielnemu ptastwu. Z drugiej znow strony dotyka niewielkiej doliny, zakończonej wąwozem. Tu przechodzi droga bita warszawsko-wiedeńska, a wody białogonskie, połączone w jedno koryto, ciągle jej towarzyszą.

Woda tu płynąca, to cicha i spokojna, to znow swawolna i szemrząca, podmywa pagórek z domkiem dla podróżnych postawionym, a w końcu, jakby dla zabawki, porusza mały młynek, którego widok i łoskot dopełnia harmonijnego obrazu całej tej osady.

Nie zbywa także Białogonowi i na wspomnieniach historycznych. W płynącej tu rzece część wojska szwedzkiego, za panowania Jana Kaźmirza kraj nasz pustosząca, grób swój znalazła, ustępując garstce polskich żołnierzy. Wpędzeni Szwedzi pomiędzy dwie góry, mając sobie odwrotu przecięty, chcieli wśród trupów, według podania, pochodzi nazwisko rzeki: „Trupieniec.“ O wypadku powyższym przekonywają również od czasu do czasu znajduwane tutaj cząstki broni różnego rodzaju, między któremi były dwa całkowite palasze, oddane do zbioru s. p. Tomasza Zielińskiego w Kielcach.

Obecnie niema tu śladu dawnych bagien; pokryły je bujne krzewy, dające schronienie licznyim słowikom. Całą też osadę głos ludu nazwał *Słowikiem*.

Opuszczając Słowik, żal się robi, iż żaden z malarzy nie pomyślał o nim dotąd; a możnaby, z różnych stron rysując, dużo przelicznych stworzyć krajobrazów. Zdobył się wprawdzie ktoś na widok góry Karczówki, z klasztorem O. O. bernardynów, ale tak nędźnie odrobiony i z tak niekorzystnego punktu, że nie warto o nim wspominać.

O początku osady Białogon trudno zasięgnąć pewnej wiadomości; są przecież ślady dające przekonanie, że już około r. 1084 musiała tu istnieć huta ołowiana. Domysł ten zdaje się być prawdopodobnym, z uwagi na bliskość kopalni ołowianych, które wraz z Kielcami i Białogonem były w owym czasie w posiadaniu biskupów krakowskich. Ruda musiała tutaj być bardzo obfita, skoro w r. 1416, już po zaniechaniu robót kopalnianych, włościanin Hilary Mała wykopał na Karczówce bryłę ołowianą, w kształcie osoby prawie naturalnej wielkości, z której wyrobiono statuetkę sęj Barbary, patronki górnictwa, 5 stóp wysoką, w bocznym ołtarzu tamecznego klasztoru postawioną. Były również odrobione z kruszców ołowianego w płaskorzeźbie wizerunki: Bogarodzicy i sgo Antoniego, z których pierwszy znajduje się dziś wmurowany w kolegiacie kieleckiej, a drugi w kościele św. Borkowice, własnością hr. Małachowskiej będących.

W późniejszych czasach nie było w Białogonie żadnej fabryki, istniał tylko młyn o trzech kamieniach, z tym przywilejem, że piekarzom kieleckim w nim tylko wolno było młóć zboże.

W r. 1814 dyrekcja górnicza przedstawiła potrzebę zajęcia Białogona na rzecz górnictwa krajowego i wybudowania tam huty miedzianej; lecz wypadki r. 1812 przeszkodziły temu projektowi, który dopiero w r. 1814 został w wykonanie wprowadzonym.

Po przywróceniu królestwa polskiego, utworzony został korpus górnicy, wraz z akademią i dyrekcją główną w Kielcach, i taż dyrekcja w r. 1817 dokończyła budowy zakładu Białogon.

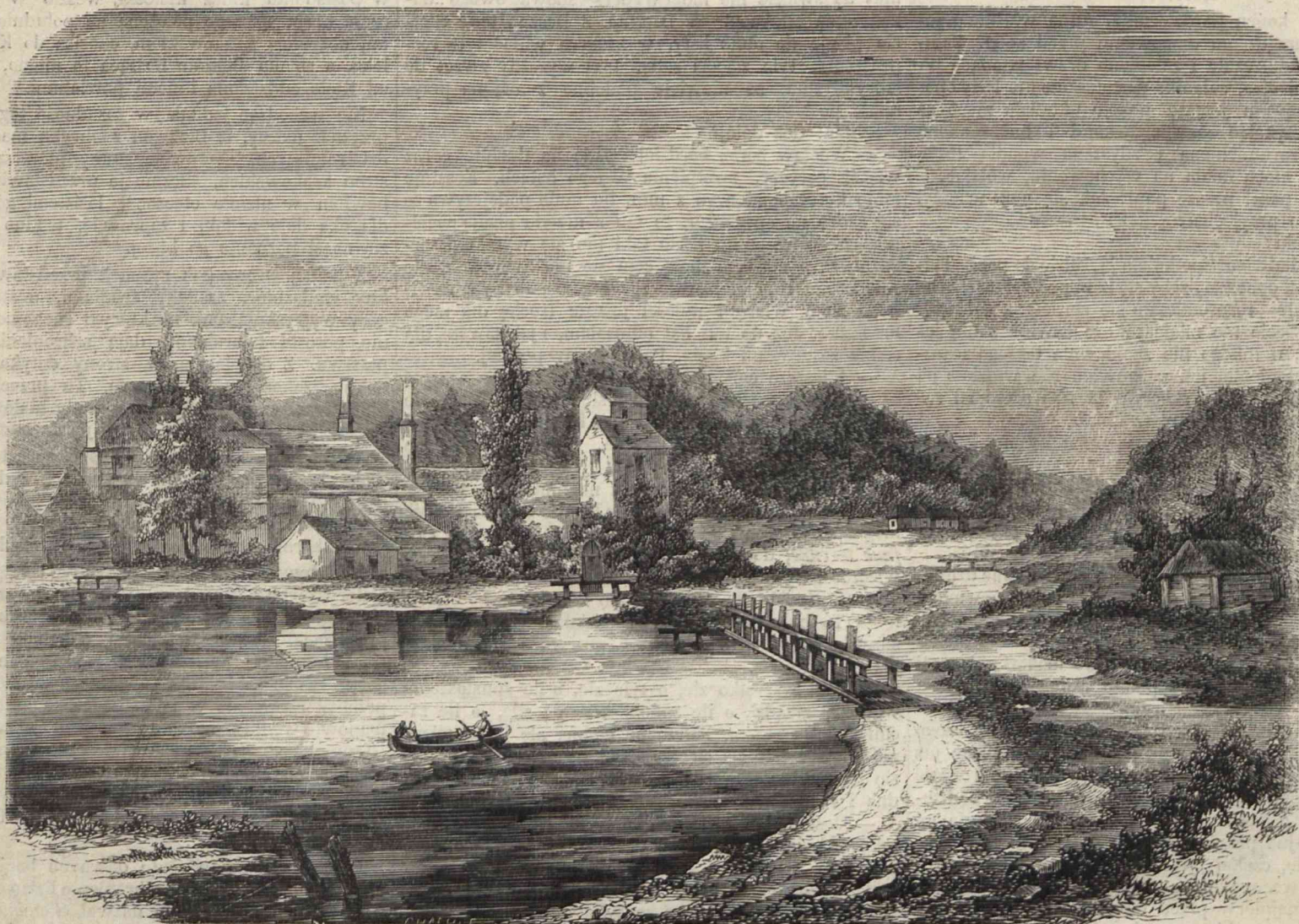
Głównem zadaniem huty tutejszej było wytopianie miedzi i ołowiu, oraz wydobywanie srebra z tych kruszców. Nadto urządzono tu probiernię, w której uczniowie akademii górnicy kieleckiej, pod kierunkiem p. Kaden, uczyli się docymazy (badania metali).

Na pamiątkę wzniesienia tej huty odlano kilkadziesiąt medali srebrnych, w wartości złp. 20, które zakupione przez urzędników górnicych i znakomite osoby wówczas fabrykę zwidzające, będą kie-

dys stanowiąc drogą pamiątkę dla potomności, świadcząc o bogactwach jakie kiedyś przodkom naszym góry olkuskie dostarczały. Również moneta srebrna i miedziana, z napisem: „ze srebra krajowego,“ lub

W obecnym czasie zakład białogoniński zajmuje się głównie wyrobem maszyn i narzędzi rolniczych, jakoto: młockarń, siewczarni, młynków do wiania, czyszczenia i mielenia zboża, młynków do mielenia ziem-

rowej, z równą siłą działającą. Tym więc sposobem walcownia bezprzerwanie może być czynną i dostarczać blachy żelaznej różnych gatunków i rozmiarów. Na jednym końcu tegoż pawilonu jest pobielnia, czy-



BIAŁOGON. (Rysował Podbielski, rytowano w drzeworytni Tygodnika).

z miedzi krajowej,“ pochodzi z kruszców w Białogonie wytopianego.

W r. 1826 książę Lubecki kazał przeistoczyć hutę białogonińską na warsztaty mechaniczne, dotąd istniejące, czego przy pomocy inżyniera-mechanika William'a Preacher dokonano, mechanik zaś John Pees ustawił walcownię blachową, którą próbując, wciągnięty został przez nieostrożność jednego z robotników w tryby maszyny i poszarpany w kawały.

niaków, siodła i surowcu, siewników, pługów, pomp wszelkiego rodzaju, sikawek, magli i wielu podobnych sprzętów. Oprócz tego wystawia różne pomniki i nagrobki, kotły do maszyn parowych i do gorzelni, prasy i pompy hydrauliczne, aparata do cukrowni i gorzelni, olearnie, papiernie, młyny, tokarnie, oraz maszyny parowe.

Do uskutecznienia takich wyrobów znajdują się w głównym zabudowaniu zakładu warsztaty mechaniczne, złożone: z 21 tokarń, 2ch heblarń, 6 wiertarń czyli maszyn do świdrowania, 1ej szrubarni, 1ej maszyny do rżnięcia trybów, 1ej nutmachiny czyli fugarni, 3ch przebijarń, 1ej prasy hydraulicznej, 2ch maszynek do wyrobu gwoździ maszynowych, i warsztatu slusarskiego o 23ch szrubsztokach.

Głównym motorem jest woda, obracająca koło drewniane z żelaznymi prętami, o sile trzydziestu koni angielskich. Koło to komunikuje ruch za pomocą trybów kątowych wałowi stojącemu, który takież kołami trybowymi rozsyła ruch systematowi walców u sufitu przytwierdzonych, a za pomocą pasów poruszają się warsztaty na dole stojące. Przy tém kole jest także urządzone piła cyrkularna, jakoteż wiatraczek dostarczający wiatru do dwunastu ognisk kowalskich.

W prawym pawilonie są 4ry sale, z których jedna mieści w sobie dwanaście ognisk kowalskich powyżej wspomnianych, w trzech zaś innych salach są urządzone warsztaty dla stolarzy, modelowników i maszynistów.]

Przeciwniegiemu temuż, lewy pawilon, w samym środku ma walcownię blachową, w której jedna połowa maszyneryi jest poruszana kołem wodnym, druga zaś za pomocą maszyny pa-

li zakład do cynowania blachy żelaznej, oraz odlewania przedmiotów mosiężnych i pilnikarnia, na drugim zaś piec kapelowy, z odpowiednią salą i przyrządami, gdzie dopełnia się odlew części żelaznych tak do maszyn, jako i wszelkich innych wyrobów w Białogonie uskutecznianych. Wiatr do tego pieca dostarczają dwa miechy cylindrowe, w osobnym zabudowaniu pomieszczone, a kołem wodnym, o sile 12u koni, w bieg wprowadzane.

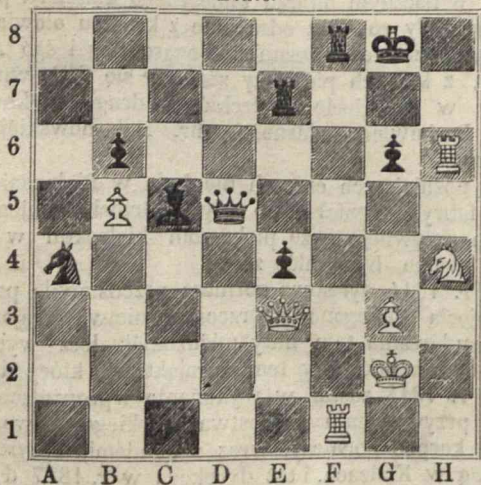
Oprócz wymienionych zabudowań, jest jeszcze węgelnia murowana, magazyn na materiały przetworowe i pomocnicze, domek szwajcarski dla odźwiernego, oraz skład gotowych wyrobów, przed którym żółtaw' ułatwia ładowanie na wozy wszelkich ciężarów.

SZACHY.

ZADANIE LI.

Białe zaczynają i dają matę za pięćm posunięciem.

Białe.



Czarne.

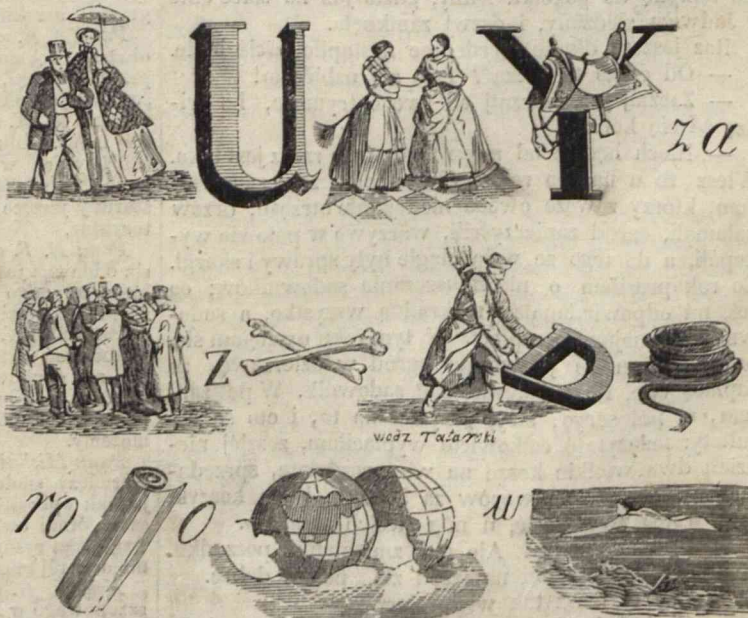
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 50.

Białe.

Czarne.

- 1) C 2 — C 4 † 1) D 5 — D 6
- 2) D 4 — C 5 † biorą. 2) D 6 — C 5 biorą.
- 3) G 5 — E 4 † i mat.

REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 72. Nie suknia człowieka, ale człowiek suknię zdobi.